

Timeo Gallos...

Na pierwszy rzut oka różnica pomiędzy manifestem Balladura a mową Morawieckiego z Heidelbergu jest tylko taka, iż polski premier ostrożnie powstrzymał się od sformułowania recepty na radykalną terapię Europy, choć diagnoza choroby u obu jest identyczna. Nic jednak bardziej błędnego. U Francuza cel całej radykalnej „operacji naprawczej” odbiega bowiem kompletnie od tego, co mogłoby się mieścić w ramach polskiego, czy szerzej – środkowoeuropejskiego interesu – pisze Jan Rokita w felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

94-letni Edouard Balladur - jeden z historycznych liderów gaullistów, jest nadal postacią oddziałującą na sposób myślenia francuskiej elity politycznej. Dawno temu, po sławnym miażdżącym zwycięstwie wyborczym gaullistów w 1993 roku, przez dwa lata pełnił urząd premiera Francji, w czasie tzw. „drugiej kohabitacji” z socjalistycznym prezydentem Mitterandem. Potem przegrał rywalizację o prezydenturę z Chirakiem, więc paradoksalnie, musiał odejść właśnie wtedy, gdy jego obóz zyskał pełnię hegemonii nad Francją. Ale w późniejszych latach bywał wielokrotnie powoływany do tak lubianej przez Francuzów roli „mędrca”, czyli szefa lub członka różnych rad i komisji, mających wytyczać kierunek reform ustroju czy polityki francuskiej. Co dla nas tutaj nie bez znaczenia, francuska Wikipedia uznaje go za „przekonanego Europejczyka”, co oznacza chyba tyle, iż na tle typowej dla gaullistów nieufności do instytucji unijnych, Balladur zwykł okazywać względem Brukseli trochę mniej „bonapartyzmu”, niżli taki Chirac, Juppe, czy de Villepin.

Dlatego właśnie *sui generis* intelektualny „manifest europejski”, ogłoszony ostatnio przez francuskiego „starca-mędrca”, jest z polskiej perspektywy interesujący (opublikowało go frankofilskie pismo „Wszystko Co Najważniejsze” w numerze 55). Balladur jest na tyle szanowany, a zarazem na tyle stary, że może sobie pozwolić na wyrażanie swoich idei wprost, a jego sposób myślenia o Europie, choć

oczywiście nie odzwierciedla aktualnej polityki prowadzonej przez obóz Macrona, jest przecież typowy dla francuskiej elity, tak z prawicy, jak i lewicy. I wiele wskazuje na to, że po zakończeniu macronistycznego „incydentu” we francuskiej polityce, na powrót stanie się jej normą. W dzisiejszej Polsce, a ściślej mówiąc w kręgach polskiej prawicy, manifest Balladura może mieć sporą moc oddziaływania. A to po prostu dlatego, że były premier Francji formułuje tam, i to ze sporą stanowczością, cały szereg ocen i poglądów, za które Polska pod rządami prawicy jest właśnie piętnowana, karana i pokazywana palcem, jako niebezpieczny wykołajeniec. Manifest Balladura może się też dość łatwo kojarzyć z nie tak dawną mową programową na temat Europy, wygłoszoną na uniwersytecie w Heidelbergu przez premiera Morawieckiego. Nie zdziwiłbym się więc zbytnio, gdyby Balladur wpłynął na umocnienie – i tak już obecnego w myśleniu polskiej prawicy przekonania o jakimś francusko-polskim pobratymstwie w rozumieniu Europy.

Balladur uważa więc, iż: „pod płaszczykiem praworządności Unia przypisuje sobie kompetencję własnej kompetencji, czyli uznaje, iż sama jest władna ją definiować w całkowitej niezależności”. To jest nieszczęście, groźne dla pozycji Francji. Szczególnie Komisja pod wodzą von der Leyen („nie mówiąc już o Parlamencie” – jak dodaje z sarkazmem) stała się powodem „licznych nieporozumień”, wynikających z „rozszerzania w nieskończoność europejskiego pojęcia państwa prawa”. Nikt już nie potrafi powstrzymać zapędów Komisji i Parlamentu, gdyż „stronniczość TSUE”, ustanowionego w tym właśnie celu, „nie budzi żadnych wątpliwości”. Co więcej, zachowanie sędziów TSUE, jak i strasburskiego Trybunału Praw Człowieka, jest częścią szerszego niebezpiecznego procesu, polegającego na „licytowaniu się sędziów z władzą polityczną, tak by definiować jej zakres kompetencji, włącznie z odmową stosowania niektórych ustaw”. Zresztą cały koncept „europejskiej suwerenności i strategicznej autonomii” jest jakąś wielką pomyłką, zagrażającą zdolności Francji do prowadzenia własnej dyplomacji międzynarodowej i niezawisłości w decydowaniu o swoim bezpieczeństwie, w tym użyciu własnej broni atomowej.

Balladur żąda więc, aby Francja wymusiła na Europie rychłe ustanowienie „kodeksu zakreślającego kompetencje każdego z organów Unii”, albowiem praktyka wykładania obecnych traktatów doprowadziła w tej mierze do całkowitego bezhołowania. To wymuszenie winno nastąpić w trzech kolejnych krokach. W kroku pierwszym Francja musi

znowelizować swą konstytucję, zakazując swojemu rządowi stosowania się do „postanowień rozszerzających kompetencje Unii”. W kroku drugim winno się odbyć referendum, pozwalające Francji na „podważenie wcześniej zawartych traktatów, naruszających prymat konstytucji”. Zaś krokiem trzecim winien być otwarty szantaż wobec reszty Europy: „Francja mogłaby wtedy zażądać renegocjacji traktatów, czego Unia, chcąc uniknąć poważnego kryzysu, nie mogłaby jej odmówić”. Balladur najwyraźniej sądzi, iż naprawa Europy wymaga rzucenia na szalę faktu dokonanego, w postaci fundamentalnego zakwestionowania całego unijnego porządku przez Francję. I jest przekonany, że to dopiero poskutkuje, gdyż bez Francji cała Unia nie miałaby dalej żadnego sensu.

U Balladura cel całej radykalnej „operacji naprawczej” odbiega bowiem kompletnie od tego, co mogłoby się mieścić w ramach polskiego, czy szerzej – środkowoeuropejskiego interesu

Na pierwszy rzut oka różnica pomiędzy manifestem Balladura a mową Morawieckiego z Heidelbergu jest tylko taka, iż polski premier ostrożnie powstrzymał się od sformułowania recepty na radykalną terapię Europy, choć

diagnoza choroby u obu jest identyczna. Nic jednak bardziej błędnego. U Francuza cel całej radykalnej „operacji naprawczej” odbiega bowiem kompletnie od tego, co mogłoby się mieścić w ramach polskiego, czy szerzej – środkowoeuropejskiego interesu. „Operacja naprawcza” jest bowiem dopiero środkiem do tego, co Francja, po odzyskaniu swej utraconej narodowej suwerenności, miałaby zrobić z Europą. Najpierw zatem powinna pozbawić głosu w Unii małe państwa, zwłaszcza te przyjęte po roku 2004, przy czym ze szczególną złością Balladur naciera na pozycję krajów bałtyckich (*nota bene* Francuz szczyci się tym, iż jako premier blokował rozszerzenie Unii na wschód). Jego zdaniem skandalem jest to, że Francja i Niemcy „muszą znajdować dwa inne państwa, aby zablokować jakieś rozwiązanie”.

Dla Balladura jest oczywistością, iż z samej natury Europy wynika to, iż Paryż i Berlin dysponują samodzielnością suwerennego decydowania, a inni muszą się temu podporządkować. Kiedy już więc taka zmiana nastąpi, Francja winna zapytać inne państwa, czy chcą nadal być w instytucjach tak zorganizowanej Unii, czy też pragną się wycofać do któregoś z peryferyjnych unijnych „kręgów o zmiennych kompetencjach i składach”. Taka reorganizacja nie tylko zapobiegnie rozpadowi Unii, ale w końcu pozwoli poprawnie zorganizować stosunki z państwami kwalifikowanymi przez Balladura do „Europy Wschodniej”, charakteryzującej się „głębokimi różnicami... struktur politycznych i tradycji” wobec Zachodu. Dopiero jak to wszystko się stanie „Francja będzie mogła zachować odpowiedzialność za swój własny los”, a to znaczy dla Balladura, że Francja w ogóle będzie mogła przetrwać. Nie trzeba już nawet dodawać, że wszelkie opowieści o przyjmowaniu do Unii jakichś nowych wschodnich członków, nim cała wielka „operacja naprawcza” zostanie zakończona, są niedorzecznością, która służy tylko pogłębieniu i tak już potężnego europejskiego zamieszania.

Mam nieodparte wrażenie, że manifest Balladura winien uważnie przestudiować każdy, kto zabiera się dziś do polskiej polityki, czy to w roli politycznego aktora, czy tylko analityka. Tekst ów pokazuje bowiem jak na dłoni istotę polskiego problemu ze współczesną Europą. Powtórzmy, bo to ważne: Balladur to nie jakiś radykał czy ekstremista, obrażony na postnowoczesny świat, ale „starzec-mędrzec” z samego jądra współczesnej europejskiej elity politycznej. Jest on tylko sceptyczny wobec nadmiernych uroszczeń aktualnej euro-technokracji, upatrując w tych jej uroszczeniach źródło rosnącego chaosu, a przede wszystkim wędzidło, uniemożliwiające odzyskanie witalnych sił przez jego kraj. Wielka „operacja naprawcza” Europy, postulowana przez Balladura, nie jest więc celem samym w sobie, ale środkiem, który prowadzić ma do powrotu dawniejszej politycznej organizacji kontynentu, opartej o zasadę koncertu mocarstw. Naiwność Balladura polega tylko na tym, iż jak każdy „bonapartysta” jest on święcie przekonany, iż w wyniku takiego nawrotu Francja stanie na równi z Niemcami, aby władać przyszłą Europą. Że to pseudo-napoleoński mit, ugruntowany na nowo w słabej i rozpadającej się społecznie Francji XX wieku przez de Gaulle’a, o tym zapewne trudno byłoby przekonać jakiegokolwiek Francuza.

W każdym razie projekt Balladura – to spójny i dość charakterystyczny dla współczesnych suwerennościowców program, groźny w swych konsekwencjach dla Polski, czy generalnie dla całej „Nowej Europy”, z taką podejrzliwością traktowanej przez Francuza. U jego źródeł tkwi przekonanie, że właściwą alternatywą dla obecnej hegemonii eurokratów, zręcznie poszerzających cały czas swój zakres władzy, jest żelazne prawo politycznej potęgi, rodem z platońskiego sofisty Kalliklesa. Wedle tego prawa kontynentalne panowanie polityczne mocarstw jest zdrowym i naturalnym porządkiem rzeczy, a cały koncept okiełznania zapędów eurokratów obmyślony zostaje tylko ze względu na ten cel. Jeśli się ten fakt dostrzeże, to łatwo już pojąć, dlaczego takie kraje jak Czechy, Rumunia, Litwa czy Finlandia, prowadzą politykę lawirowania pomiędzy dążeniami eurokratów i próbami suwerennościowej *reconquisty* na modłę francuską. Dla kraju takiego jak Polska, francuscy (i nie tylko francuscy) suwerennościowcy w rodzaju Balladura, owszem, mogą być dzisiaj trochę przypadkowymi towarzyszami podróży, gdy trzeba przeciwstawić się nieznośnym uroszczeniom eurokracji, posługującej się na dodatek ostatnio jawną ideologiczną przemocą. Ale jest to tylko podróż przez jeden czy dwa najbliższe przystanki, gdyż Polska nie ma z nimi wspólnoty celów. Gdyby Wergiliusz był Polakiem, to pewnie napisałby: „*Timeo Gallos et dona ferentes*”. Bo Gallowie są niebezpieczni zwłaszcza wtedy, gdy wydają się przynosić nam dary.

Jan Rokita

MN